Nr. 34. Lwów dnia 21. Września 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. - kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnie J. Wilda i A. Nowoleckiego, w Poznaniu księgarnia Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w *„Świcie"* wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy takowych.

MIĘDZY NIEBEM A ZIEMIĄ,

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Stasia zadowoloną była, że się jej udało namówić Adasia do roboty; ale widząc z jakim niesmakiem i przymusem brał się do tego, jak łagodne spojrzenia jej nie mogły rozpogodzić chmurnego czoła jego, zasmuciła się bardzo, w kwaśnem bowiem i obojętnem zachowaniu się Adama względem niej domyśliła się innej choroby, niż tej, o której wspominał. To nie było tylko zwątpienie we własne siły, w potęgę sztuki — była tu inna przyczyna. Stasia bała się przed sobą samą nazwać chorobę Adama. Niejasne domysły i przeczucia przelatywały jak nocne, ciche błyskawice po jej duszy; przy ich niepewnem świetle nachodziła ją trwoga grożącej burzy. Odpędzała złe, natrętne domysły od siebie; ale każde chłodne spojrzenie Adama sprowadzało je znowu. Było jej teraz tak, że radaby była skryć się gdzie w kącik najskrytszy i tam wypłakać się, pomodlić, uspokoić; a musiała siedzieć i twarzą kłamać spokój.

Adam również zadawał sobie gwałt zmuszając się do spokoju i pracy w chwili, gdy duszę jego nachodziły jakieś szalone pragnienia, dzikie żądze. Przyszło mu to po owej wycieczce do Zarzecza. Sam siebie nie poznawał teraz. Dawniej pragnienia jego płynęły jednem pewnem korytem – trzymały się w granicach sztuki. Być znakomitym malarzem — to był kres tych marzeń—ostateczne ich ujście. Teraz pragnienia jego i marzenia wystąpiły z tego ciasnego koryta straszną powodzią, sława artysty wydawała mu się tak małą, mizerną, że się jej wstydził prawie. On pragnął teraz być wielkim, potężnym, głośnym. Wieniec Leonarda zamieniłby chętnie na bicz Atylli, pendzel na oręż, sławę na potęgę — a wszystko dlatego, aby w oczach Ewy urość, aby ona z podziwem i zachwytem patrzała na jego tryumfy i oczów nie mogła na chwilę oderwać od tego blasku, w który chciał ubrać się dla niej. Nie była to miłość, wśród ambitnych zachceń jego nie słychać było cichych, tkliwych szeptów miłości, on pragnął w marzeniach olśnić tę kobietę i zhołdować dla siebie. Chełpliwa próżność silniejszym tu może była motorem, niż miłość; ale niemniej serce wchodziło tu już w niebezpieczną grę. On chciał być wielkim — dla niej.

W takiem usposobieniu rzeczywistość była dla niego wstrętną, zbrzydził sobie pracę, bo ta praca nie wiodła go tam, gdzie biegły marzenia jego; czuł się tak małym, niczem prawie, a w cichym domku wdowy było mu ciasno, duszno, niemiło. Czuł się tu spętanym obowiązkami, pracą, przywiązaniem Stasi, dobrocią jej matki. Wszystko to obciążało skrzydła; jego rozbujałej i wyuzdanej fantazyi, przyciągało do ziemi, od której radby teraz uciec jak najdalej. To też robota szła mechanicznie—myśl daleko była od niej. Stasia spostrzegła tę bezmyślną obojętność w jego oczach i martwiło ją, że nie zdoła duszy jego przywołać do tych oczów.

Matka zajęta czytaniem nie widziała tej niemej tragedyi dwojga młodych serc; ona jedna była spokojną w tem gronie.

Czytanie przerwało wejście służącej, która trzymała list w ręku.

— Zkąd to?—spytała Stasia biorąc list od niej—z poczty?

— Nie; posłaniec przyniósł z Zarzecza.

Adam ruszył się tak niespokojnie na stołku, że aż Stasia zwróciła na to uwagę i popatrzyła na niego dziwnym, głębokim wzrokiem. Nie mógł wytrzymać tego spojrzenia i spuścił oczy usiłując przybrać minę obojętnego.

Stasia po cichu odczytała list.

— Czy od Ewuni? — spytała matka.

— Tak.

— O cóż pisze?

— Chce, abyśmy były z nią dzisiaj w teatrze. Jakaś włoska opera przyjechała, dają podobno Rigoletta.

Ewunia prosi, by kupić lożę i czekać na nią, bo przed siódmą zajedzie po nas z ojcem swoim.

— Cóż jej odpowiesz?

— Albo ja wiem? Adasiu, czy rzeczywiście jest opera w mieście?

— Jest. Dawano już Trovatora i bardzo się podobał. Szczególniej tenor i sopran są wyborne.

— A nic nam o tem nie mówiłeś.

— Zapomniałem. Zresztą nie wiedziałem, że lubisz muzykę.

— Nie wiedziałeś?

Popatrzyła na niego z delikatnym wyrzutem.

— Czy posłaniec ma zaczekać?—spytała Jagusia.

— Niech czeka. Trzebaby się dowiedzieć, czy dostanie jeszcze lożę.

— Ja pójdę — rzekł Adam wstając z pospiechem.

— Wszak Jagusia może pójść — odrzekła Stasia.

— Mam i tak interes w mieście, będzie mi po drodze.

Stasia w milczeniu przyjęła tę jego gotowość, która ją nie cieszyła. Poglądała na zbierającego się Adama wzrokiem smutnym i myślała sobie w duszy:

— Jak jemu pilno uciec od nas.

I nie myliła się. Adam uchwycił skwapliwie sposobność wyjścia, by usunąć się z pod przenikliwych spojrzeń Stasi, które go mięszały i niepokoiły. Spojrzenia te zdawały mu się wyrzutem tym przykrzejszym, iż czuł, że zasłużył na to, czuł się winnym w obec matki i córki i chciał co prędzej uciec im z przed oczów.

Za godzinę wrócił z biletem. Stasia zawiadomiła Ewę przez posłańca, że loża jest.

Wieczorem około w pół do siódmej Ewa z ojcem zajechała przed dworek. Adam przypadkiem czy umyślnie był właśnie w ogródku przed oknami i pobiegł podać rękę wysiadającej. Uścisnęła go poufale, serdecznie i szepnęła:

— Tak to pan umiesz słowa dotrzymywać.

Adam zarumienił się i nic nie odrzekł. Nie było nawet czasu na odpowiedź, gdyż wnet pojawiła się Stasia, która już ubrana czekała na Ewę.

— Więc jedziemy już? — spytała.

— Za chwilę. Pozwól moja droga, że u ciebie poprawię toaletę.

— A gdzież pan Zygmunt? — spytała jej Stasia, gdy weszły do pokoju.

— Nie wiem, — odrzekła obojętnie Ewa — od wczoraj go nie widziałam. Musi być w mieście. Jakoś widzę w protekcyę wzięłaś pana Zygmunta. Nie bój się, znajdzie się w teatrze. Ten człowiek ma znakomity instynkt odszukiwania mnie.

Mówiąc to przyglądała się w lustrze i poprawiała kwiat we włosach. W tej chwili była zajęta tylko sobą — rozmawiała bezmyślnie, ot aby coś mówić.

— No, jestem gotową. Jedziemy—rzekła po chwili zadowolona z przeglądu. — Gdzież twoja mama?

— Zdaje mi się, że już w sionce, rozmawia z twoim ojcem.

— Więc jedźmy.

Wyszły przed dom. Ewa obejrzała się.

— A gdzież pan Adam?

— Nie wiem; zdaje mi się, że poszedł naprzód. Może myślał, że się nie zabierzemy.

— Wszak jest miejsce na koźle. Zabierzemy go po drodze.

Wsiedli i pojechali. Ale zaledwie kilkadziesiąt kroków ujechali, Ewa, spostrzegłszy idącego Adama, kazała stanąć furmanowi i tak usilnie nalegała, by usiadł z niemi, że Adam nie mógł wymówić się i wsiadł na kozioł. Ewa dała mu do trzymania swoją chusteczkę i wachlarz. Stasia niechętnie patrzała na to zajęcie się Ewy Adamem, obrażała ją poufałość, z jaką była względem niego.

Po chwili Ewa zwróciła się do niej i spytała:

— No cóż, czy wdzięczną mi jesteś za dzisiejszy projekt? Znasz Rigoletta?

— Tylko z wyjątków na fortepian. Nigdy jeszcze żadnej opery nie widziałam na scenie i cieszę się na dzisiejsze przedstawienie. Czy w śpiewie będzie można zrozumieć treść opery?

— To trudno. Ja sama nie znam jej dobrze. Panie Adamie, będziesz nam pan tłómaczem, dobrze? Bo pan pewnie musisz znać treść opery.

— Słyszałem ją w Monachium.

— Treść podobno dosyć ckliwa. Kobieta ginie poświęcając się za człowieka, który ją zdradził i nie kochał. Czy tak?

— Tak — odpowiedział Adam krótko, bo przedmiot rozmowy w tej chwili zdawał mu się przykrym.

— Ale śpiew bardzo piękny — mówiła dalej Ewa zwracając się do Stasi. Ta nic nie odpowiedziała. Milczenie jej zrozumiał Adam i uczuł ciężar jego na swojem sercu.

Na szczęście turkot powozu po bruku nie pozwalał na dalszą rozmowę. Za chwilę stanęli przed teatrem.

Adam zaprowadził panie do loży, a potem sam zeszedł na dół do krzeseł. Zastał tam już Zygmunta, który wpatrywał się pochmurny w lożę, do której weszła Ewa. Adam miał właśnie miejsce obok niego. Zygmunt jednak tak był zajęty obserwowaniem loży, że nie spostrzegł siadającego obok siebie Adama. Aż ten musiał go trącić i przywitać.

— A to ty?—spytał jakby przebudzony ze snu.— Nie uważałem cię; byłem zajęty obliczeniem powierzchni ciała naszej bachantki.

— Cóż to znaczy?

— Spojrzyj.

Adam podniósł oczy i zarumienił się, zobaczywszy Ewę w loży mocno wydekoltowaną. Nie widział tego przedtem, bo była osłonięta szalem. Teraz zrzuciła szal i odsłoniła na pastwę oczów ludzkich rozkoszne ramiona i bujne, różowe piersi, na których biała, przejrzysta sukienka spoczywała tak nisko, że patrzącym z dołu wydawała się Ewa, jakby z kąpieli wychodząca. Wszystkich lornetki były na nią zwrócone, to ją jednak nie zmięszało całkiem i dumnemi, pewnemi oczami robiła przegląd osób w teatrze. Za to Stasia wstydziła się za nią: była cała jak w ogniu i nie wiedziała, gdzie podzieć oczy, tak ją żenowało sąsiedztwo Ewy. Adam zarumienił się także, ale nie tyle może ze wstydu, ile ze wzruszenia. W nieskromnej toalecie Ewy był jakiś szatański powab, który go olśniewał i rozpalał. Przypomniała mu się karczma u przewozu, gdzie w podobnym stroju widział Ewę; tylko, że tutaj urok jej wdzięków podnosiło oświetlenie gazowe i całe otoczenie. Zygmunt natomiast oburzał się na Ewę; zazdrość szarpała mu serce, gdy widział tylu ludzi pożerających oczami odsłonięte wdzięki tej, do której on chciał mieć wyłączne prawo.

— Cóż mówisz o tej wystawie ciała? — spytał cierpko Adama. — Prawda, dla was malarzy to nic dziwnego, dla was im więcej natury, tem więcej piękności. Ewa musi być tego samego zdania, że wszystko, co pan Bóg stworzył, musi być piękne. Ale zwyczajnego śmiertelnika, to oburzyć musi taki brak skromności.

Adam chciał coś odpowiedzieć; ale w tej chwili Ewa skierowała w stronę, gdzie siedzieli lornetkę, i spostrzegłszy ich ukłoniła się im z wdzięcznym uśmiechem. Adam zapomniał o czem chciał mówić do Zygmunta. Zygmunt nie zagadnął go więcej, bo właśnie kurtyna się podnosiła.

Podczas aktu Adam przelotnemi spojrzeniami obserwował lożę, w której siedziały Ewa ze Stasią. Stasia siedziała zapatrzona, wsłuchana cała, zapomniała o całej publiczności, o nim, o sobie nawet; tak ją zajmowała muzyka i akcya. W tej natężonej uwadze było wiele parafiańszczyzny, która szkodziła trochę piękności Stasi. Rozwarte lekko usta i pochylona zbytnie naprzód głowa nie przyczyniały się wcale do uwydatnienia jej piękności.

Przeciwnie Ewa była całkiem panią swoich ruchów i gestów; siedziała jak dama wielkiego świata dzieląc niedbale uwagę swoją między sztukę i publiczność. Od czasu do czasu rzucała przenikliwe, kokietujące spojrzenia na Adama, które jak iskry elektryczne przechodziły po nim. Czy Stasia patrzała na niego? Na to pytanie nie umiałby z pewnością odpowiedzieć, gdyż prawie jej nie widział przez cały akt. Gdy kurtyna zapadła, Adam zwrócił się do Zygmunta i spytał:

— Pójdziesz do nich?

— Nie — odrzekł tenże sucho.

— Więc ja idę.

Przeciskając się między krzesłami usłyszał w jednem gronie młodych ludzi taką rozmowę:

— Jak na dzisiejszy post. to ciała za wiele.

— To najświeższa moda. W Berlinie na balu tegorocznym żona włoskiego ambasadora miała podobną toaletę.

— Moda, jak moda. Ja sądzę, że nie trzymałaby się tak ściśle mody, gdyby się nie czuła na siłach.

— Prześliczny budynek. Gdybym był malarzem, zaszalałbym się w tej kobiecie.

— Ja sądzę, że do tego nie trzeba być koniecznie malarzem.

— Ale i ta druga nieszpetna. Patrzcie! Nawet powiedziałbym o wiele piękniejsza od tamtej, ma daleko szlachetniejsze linie profilu; tylko za mało efektu i życia.

— To jakaś spokojna duszka; podczas gdy u tej każdy kawałek ciała drga życiem, rozkoszą, powabem.

— Dla tej spokojnej możnaby umrzeć z miłości, a dla owej bachantki chciałoby się żyć wiecznie.

— Brawo, literacie, udało ci się porównanie.

Adam wydobył się z koła złotej młodzieży odurzony, rozgorączkowany ich rozmową. Każde słowo ich pochwytywał nietylko uszami, ale duszą całą; pochwały oddawane Ewie łaskotały jego próżność, był dumnym z tego, że ta, na którę inni zdaleka tylko pożądliwem okiem patrzeć mogli, jest jego dobrą znajomą, a nawet więcej... mógł dodać w duszy: jest moją. Zależało to tylko od jego woli. Dotąd skrupuły, obawy jakieś trzymały go zdaleka od niej. Dziś odepchnął to wszystko od siebie bez namysłu i wahania, dziwił się nawet, że mógł dotąd wahać się, czy wejść do tego raju rozkoszy, jakie mu dawała miłość Ewy. Pragnienie jej miłości gnało go teraz do niej, biegł szybko po schodach, jakby bał się stracić każdą chwilkę tego szczęścia, jakiem się się mógł poić w jej towarzystwie. Wszedłszy do loży nią prawie wyłącznie się zajmował, z nią rozmawiał tylko, a Stasi rzucił kilka obojętnych i zwyczajnych zapytań o sztuce i śpiewie.

Przestanek międzyaktowy przeleciał mu bardzo szybko, że zdziwił się, gdy usłyszał dzwonek. Podał rękę Ewie na pożegnanie, ale ta zatrzymała go i rzekła:

— Zostań pan z nami, ojciec mój zapewne nie wróci z bufetu. On przekłada fajkę nad muzykę. Wsuń pan krzesło między nas, będziesz nas pan objaśniał, bo mało rozumiemy.

(C. d. n.)

PSYCHE i GALATEA.

Na krągłym glazie, falą wyżłobionym,
Na kępie mirtów i wodnych rzęs ławie
Usiadła Psyche, wzrokiem zatęsknionym
Mórz białe perły chłonąc — senna prawie...
Strugę oddechów zlewała na skały
I fal symfonie dziergała myślami,
Że jak poważnej lilii kwiat się zdały
W bukiecie wietrznic-róż. Pod jej rzęsami
Rozkołysana jedna kropla łzawa
Upadła w morze — cicha wśród chaosu,
I tylko, zda się, brzegiem smętna trawa
Zaszumi czasem, niby z ruin głosu...

Aż owa z tęsknot samotnej Bogini
Łza na powiekach Psychy urodzona,
Skoro się kręgiem w kryształach rozpłynie,
Spłoszy wnet spokój błękitnego łona,
I wraz się drżącym wód rąbkiem wywiewa
Z tęczowej piany pieśń fali namiętna,
A Psychy senna źrenica nabrzmiewa
W mórz zapatrzona rozigranych tętna...
I w otoczeniu powstaje Trytonów
Biust wytryśnięty z morza — Galatei.
A wody drżące pieśnią mokrych tonów
Pod stopy białe kładą się z kolei...

Zbudzona piękność ziewnęła naiwnie,
A kiedy oko młode w toń rzuciła,
To jej się miękki profil tak przedziwnie
Samej podobał — że już próżną była...

Promienna wtedy mówiła tak Psyche:
— „Z jednej łzy mojej córko wyrzeźbiona
„W pierwowzór Piękna, a nie w marną Pychę,
„Przepływaj w nagą skromność otulona
„Przez nurty wieków i marzenia plemion,
„I nieś im Prawdę w fałdach twego ciała,
„Wraz owiniętą z Pięknem — po nad ziemią
„Dziś, kiedym ciebie z łzy mojej stwarzała.
„A jeżli będziesz czarodziejką tylko
„Nadobnej formy bez ducha wzniosłości,
„To ja na wietrznym napiszę motylku
„Piętno znikomej, jak piana, nicości,
„Że ledwie kwiatem swej wiosny powioniesz,
„Już się kielichy jego w puch rozprysną
„I nim z extazy namiętnej ochłoniesz,
„Z pod zasępionych powiek łzy ci trysną."

Lubieżny uśmiech wypłynął na lica
Z morskich obłoków zrodzonej Piękności,
I na płomiennym rydwanie wietrznica
Poczęła kwiaty trwonić namiętności.

*
* *

Ten utwór piany Grecy ubóstwili,
A ja przeklałem — u nóg mej Dalili.

Bronisław Zawadzki.

KSIĄDZ HUGO KOŁŁĄTAJ

i jego prześladowcy,

szkic biograficzno - krytyczny

przez

HENRYKA SCHMITTA.

(Ciąg dalszy.)

Dotychczas nie poczytywano nikomu za zbrodnię, jeżeli wśród użytecznej dla ogółu pracy i w sposób godziwy starał się o zabezpieczenie sobie niezależności majątkowej, nastręczającej mu możność tem swobodniejszego działania w sprawach publicznych. Pierwszy zarzut tego rodzaju spotkał Kołłątaja, który po kilkunastu latach pracy w zawodzie publicznym doszedł do tego ostatecznie, że miał z dóbr swych duchownych i dziedzicznych kilka tysięcy dukatów rocznego dochodu. Jeżeli zaś zważymy, że na tych majętnościach znaczne ciężyły długi, okaże się w końcu po ścisłem obliczeniu, że nie zebrał znów tak wielkich dostatków, by mu wolno było zarzucać, jakoby głównym celem życia jego było pamiętanie o sobie. Zająwszy dzięki swym zdolnościom niezaprzeczonym wysokie w społeczeństwie owczesnem stanowisko i stykając się w codziennych stosunkach z wszystkiemi znakomitościami stolicy i kraju, musiał trybem wtedy przyjętym mieć dom otwarty a nawet na wzór innych otoczyć się pewną wystawnością. Trudno było w owym czasie odgrywać rolę Cincinata, ponieważ to nie byłoby go podniosło w oczach publiczzości, ale przeciwnie okryłoby go śmiesznością, na co nie mógł się narazić. Rad wiec nie rad musiał żyć jak drudzy, a tem samem pamiętać, aby mieć środki na to a przytem dzielić się z potrzebnymi, do czego był zawsze gotów. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że lubiał sam wygody i pewną wystawność i że zbierał z zamiłowaniem dzieła sztuki, książki i inne przedmioty naukowe, lecz ztąd nie wypływa bynajmniej, jakoby był chciwcem albo rozrzutnikiem, uganiającym za rozkoszami życia, lub że poświęcając dobro kraju korzyściom osobistym, używał środków niegodziwych w przysparzaniu sobie dochodów. Zarzut Bułhakowa, że za pomoc udzieloną księżnej Kurlandzkiej do wygrania sprawy w sejmie miał wziąć 2.000 dukatów, jest złośliwym jedynie wymysłem, zważywszy, że carowa oburzona uchwałą sejmu, zagradzającą jej drogę do burmistrzowania w Kurlandyi, miała w tem interes własny, by ową uchwałę uchylić. Sprawa ta przyczyniła się też niemało do nienawiści, z jaką rząd moskiewski występywał ciągle przeciw Kołłątajowi. I Linowski także prawi o Kołłątaju, że tenże na urzędzie referendarza litewskiego i podkanclerzego koronnego splamił się przedajnością, lecz gdy nie przytoczywszy ani jednego czynu podobnego, zbył rzecz ogólnikowem oskarżeniem, trudno polegać na jego twierdzeniu, zwłaszcza gdy w zjadliwości swojej nie przebierał w środkach, byle zohydzić znienawidzonego przeciwnika.

Siemieński czuje sam, że z tych podejrzanych świadectw, jak Bułhakowa, Linowskiego, Wolskiego, Smitta i innych nie potrafiłby zrobić dowodu przeciw Kołłątajowi i dlatego radby znaleźć poparcie w jego własnych zeznaniach. Tym celem wyrwał z listu XX pisanego do Strassera 29 Września 1792 dwa krótkie ustępy, mające niby dowodzić, że Kołłątaj chcąc się nawet usprawiedliwić w własnem sumieniu z szukania protekcyi u naczelników konfederacyi nie może ukryć swego pamiętania o sobie. List wspomniony, zapełniający przeszło 6 kartek druku (str. 33 do 45 włącznie T. I), jest odpowiedzią na odezwę Strassera, w której tenże wskazywał Kołłątajowi, jakich winien użyć dróg i środków, aby ocalić urząd i majętności swoje. Nie należy zapominać, że Strasser był w tem jako główny wierzyciel jego wielce interesowany, a nakłaniając go do powrotu i poczynienia kroków stosownych celem przejednania Targowiczan i Moskwy, występował w charakterze przyjaciela i wierzyciela. Radził mu zaś, aby prócz akcesu do konfederacyi, uczynił reces od sejmu, wykonał przysięgę a przedewszystkiem napisał list do Szczęsnego Potockiego, zwłaszcza gdy już wojewoda kijowski, Prot Potocki, także wierzyciel jego, przetarł nieco drogę. Odpowiadając na ten list, wykazuje Kołłątaj, z jakich powodów nie może zgodzić się na podany projekt. Nie jest to zatem usprawiedliwianie się we własnem sumieniu, lecz usprawiedliwianiem się w obec wierzyciela i przyjaciela, który w najlepszej może wierze doradzał mu użycia środków, narażających go na upodlenie. W liście tym musiał Kołłątaj poruszyć nie jedno, co się działo przed jego wyjazdem z Warszawy, aby w sposób dobitny i przekonujący wyświecić Strasserowi, że gdyby nawet poszedł w zupełności za jego radą, nie dopiąłby celu, a w dodatku okryłby się podłością. Jest tam wzmianka i o akcesie zostawionym w ręku Strassera za radą tegoż i obszerny wywód, jak śmiesznem jest żądanie recesu od sejmu. Lecz Siemieński spostrzega w tem obłudność Kołłątaja, ponieważ dodaje w przypisku, że „Kołłątaj uczynił już reces, ale skrycie“. Widocznie nie zastanowił się wydawca listów, że tym przypiskiem nierozważnym dopuścił się rażącej w wytrawnym pisarzu niedorzeczności. Przypuściwszy nawet, że Kołłątaj był rzeczywiście największym obłudnikiem, czyż i w takim wypadku byłby mógł w podobny sposób pisać do Strassera? Kogoż to chciał w obłęd wprowadzić? Przecież nie Strassera, do którego pisał, a który znosząc się ciągle z Bułhakowem, mógł się od niego najłatwiej dowiedzieć, czy Kołłątaj uczynił ów reces od sejmu, czy nie! Byłby w tem raczej dowód głupoty a nie obłudy, a na podobne insynuacye najlepiej odpowiedzieć słowy własnemi Kołłątaja, zawartemi w liście do Benedykta Hulewicza (str. 112 T. I): „Cóż na to odpowiedzieć? Znasz mię, żem nie zwaryował. Wszyscy moi nieprzyjaciele nie zadają mię, żebym był głupim.“

Siemieńskiego drażni widocznie zasłużona popularność Kołłątaja, a dlatego radby ją przypisać obłędowi powszechności narodowej, która olśniona pięknymi frazesami, sypiącymi się z pod pióra jego, nie wglądała głębiej w prawdziwe pobudki, któremi się powodował w całem swem życiu, a co więcej przebaczała mu zboczenia i wykroczenia, które najprawszym ludziom, spełniającym bez rozgłosu obowiązki obywatelskie, nie byłyby uszły na sucho. Do wykroczeń zaś Kołłątaja zalicza przedewszystkiem głosowanie w d. 23 Lipca 1792, zostawienie akcesu do Targowicy w ręku Strassera i sta-

rania czynione z zagranicy, aby się utrzymać przy kanclerstwie i majętnościach. Co do pierwszego i drugiego wyświeciłem już rzecz w poprzednich ustępach, a teraz rozważę po krótce i owe trzecie wykroczenie mniemane, ponieważ z niego to głównie wysnuł Siemieński zarzut, że Kołłątaj „pod świetnemi godłami dobra ojczyzny i poświęcenia się dla ogółu umiał pamiętać o sobie.“

Tu należy przypomnieć sobie, że gdy po przystąpieniu króla do Targowicy wszyscy główni twórcy ustawy 3 Maja wyjechali za granicę, a z nimi i Kołłątaj, nie były jeszcze prawdziwe zamysły Moskwy wiadomemi. Kołłątaj dowiedział się wprawdzie w kąpielach o uprojektowanym już między nią a Prusami nowym rozbiorze Polski, lecz czy przyjdzie do wykonania projektu, było rzeczą zawsze wątpliwą. Otóż mając niezłomne przekonanie, z którem się nie taił w swych listach, że każdy obywatel gorąco kraj swój kochający nie powinien się w chwilach dla ojczyzny niebezpiecznych uchylać od służby publicznej, chciał się utrzymać przy swym urzędzie, aby ile możności zaradzać złemu przez osobisty udział w sprawach publicznych. Jeżeli więc pragnął utrzymać nadal w swem ręku miejsce i pieczęć koronną i przez to wywierać z jednej strony wpływ na króla a z drugiej na Targowicę, działał zgodnie z swem przekonaniem, a co więcej nie wolno mu z tego powodu czynić zarzutu, ponieważ nie podlega wątpliwości, że na tem stanowisku mógł być użytecznym krajowi. Ślepa tylko nienawiść albo zła wiara mogłaby go pomawiać o samą chęć utrzymania się przy urzędzie bez względu na dobro ojczyzny. Gdyby całe życie jego nie świadczyło o przeciwieństwie, dostarczają dowodu same listy jego pisane do Strassera i innych. W listach tych powtarza nieustannie i prosi, aby o tem uwiadomić i Bułhakowa, że wtedy jedynie pragnie wrócić i pracować bezinteresownie, jeżeli praca użyteczna krajowi, lecz że do przywrócenia bezrządu lub rozszarpania ojczyzny nie przyłoży ręki. W żadnym z listów jego nie znalazłem najlekszej wzmianki, że gotów wrócić do kraju i służyć zwycięskiemu stronnictwu, byle nie tykano urzędu jego, dóbr i osoby. Przeciwnie, oświadcza stale, że woli nędzę i prześladowanie, niż współpracownictwo nad nieszczęściem ojczyzny.

Drażliwą zaś dlań rzeczą było zagrożenie utraty dóbr duchownych i dziedziczych, ponieważ tu nie chodziło już o niego samego, ale i o wierzycieli, którzy w dobrej wierze na te dobra pożyczyli mu znaczne bardzo sumy. Jeżeli zatem wszelkie możliwe czynił zabiegi, aby się utrzymać w posiadaniu swych majętności, działał jako człowiek uczciwy, który pragnie wszystkim dotrzymać swych zobowiązań. Że zaś był człowiekiem uczciwym i szlachetnym, mógł się Siemieński dowiedzieć z listów jego do Szczurowskiego, w których podaje sposoby, jakich należy używać, aby w razie wydarcia mu dóbr, ubezpieczyć przynajmniej własność wierzycieli. Myśl ta, że wierzyciele jego z nim razem mogli ucierpieć, trapiła go nieustannie, a chęć dotrzymania im zobowiązań nie małą odgrywała rolę w zostawieniu przy wyjeździe z Warszawy swego warunkowego akcesu do Targowicy, czego dowodem list XVII pisany 11 Września 1792 do Szczurowskiego, w którym powiada: „Wiadomo WPanu, żem nic nie opuścił, coby mogło w tym razie ratować moje i kredytorów moich interesa. Zostawiłem nawet akces do konfederacyi i aż żal mi tego. Wszelako gdy mimo moją powolność prześladować mnie zechcą, pokażą się okrutniejszymi a ja usprawiedliwionym w mem własnem sumieniu, że krok ten uczyniłem, chcąc zapewnić fundusz dla moich wierzycieli.“ Nie zapominał nawet o włościanach swych wiosek. Gdy mu Szczurowski doniósł o wkroczeniu Moskali w Sandomierskie i Krakowskie i o rozkwaterowaniu ich w wioskach jego, polecił mu 29 Grudnia 1792 (str. 153 T. I) „aby ile to być może ochraniać gromady i zastępować z dworu to, co na nie wkładają, żeby przecie widzieli różnicę dbałości mojej o nie.“ A Antoniemu Sadkowskiemu, dzierżawcy, poleca (str. 155 T. I): „O mnie się nie turbujcie, o lud ubogi dbajcie, bo ja najbardziej radbym, aby gromady w wioskach moich nie niszczały.“ Siemieński powie zapewne, że to są piękne tylko frazesy, lecz mnie się zdaje, że kto w tak wyjątkowy sposób dbał o lud wiejski w swych dobrach i z własnego kazał uiszczać nakładane przez Moskali kontrybucye, kto się trapił nieustannie, aby po bezprawnym zagrabieniu jego majętności nie ucierpieli jego wierzyciele, nie może być pomawianym o to, że chciał tylko pamiętać o sobie, a samolubne dążenia osłaniał świetnemi godłami miłości kraju i poświęcenia się dla dobra ogółu.

(C. d. n.)

GARBUS Z BONONII,

poemat z wieków średnich

przez

WŁADYSŁAWA ORDONA.

(Ciąg dalszy.)

Lekkie eterem naraz wstrzęsło drżenie,
Jak gdyby ducha westchnienie.
Tajemny śpiewak tknął struny gitary
Najcichszej. Drugą dowiązał do pary,
Złączył je, musnął, zmącił z struną trzecią,
Brzękły, jak muchy złote — złotą siecią
Splątane. Naraz padł na wszystkie struny
I spuścił po nich palce swe skrzydlate,
Niby sokoły na gołębi stado.
Melodya lała się dźwięczną kaskadą:
Wiolin łkał, w basie warczały pioruny,
Jęki, jak więźnie patrzący przez kratę,
Coraz swe blade lice wychylały —
Rósł, rósł do góry, pędził hymn wspaniały,
Aż odeń piersi instrumentu drżały.
Niby przed arką harfa Dawidowa;
Jak głuchoniemy targał się i pienił
Hymn ten, aż wreszcie z śpiewem się ożenił
I lawą wrzącą wylał się w te słowa:

„Pocałunek jej! ach starcze, starcze,
„Pocałunek jej ja dostać muszę!
„Daję tobie nieśmiertelną duszę
„Za jej jeden pocałunek, starcze,
„Niechaj duszę na wieczność obarczę,
„Pocałunek jej, ach, dostać muszę!

„Niechaj uschnie matki mojej ręka,
„Zamroziła usta moje sobą!
„Jak łan suchy warga moja pęka,
„Zamroziła mnie matczyna ręka,
„Płonę nocną, płonę ranną dobą,
„Od relikwii odpycha mnie trwoga:
„Ja całuję w gwoździu Pana Boga!...

„Spada grono, gdy nabierze sokiem,
„Każdy kwiatek ptasza ssie rozpusta,
„Wszystką krew mam na ustach potokiem;
„Usta! usta! daj mi drugie usta!
„Wciąż ją chwytam słuchem, czuciem, okiem,
„Starcze, usta daj mi, drugie usta!

„Zgoda! starzec odpowiada, zgoda,
„Targ przybity, ja nie będę z głazu,
„Lecz na mgnienie tylko usta poda,
„Rozkosz i śmierć wyssiesz z nią odrazu;
„Dusza dla mnie — tobie rozkosz młoda,
„Lecz na mgnienie i padniesz jak z głazu!...

„Pocałunek jej! ach, starcze, starcze,
„Pocałunek jej ja dostać muszę!
„Weźmij sobie nieśmiertelną duszę,
„Za jej jeden pocałunek, starcze;
„Niechaj duszę na wieczność obarczę,
„Pocałunek jej, ach, dostać muszę!"

Tu pieśń zamilkła: a za jej włókienko
Bianka słuchem duszy zaczepiona
Budzi się, chwieje i nagle, szalona,
Dźwiga się z ziemi, bieży pod okienko
I woła w przestrzeń ciemną z głębi łona:

— „Ktokolwiek jesteś, wziąłeś mnie dla siebie,
„Patrz, wstyd dziewiczy odzieram i grzebię,
„Jeśli istota ludzka dzień ci dała,
„Jeśli cię twarda nie zrodziła skała,
„Przybliż się, pragnę, wzywam, wołam ciebie!
„I będę usta twoje całowała,
„Wilgotniej niżli kwiat jaśminu rosa,
„Goręcej niżli wiatr południa liście,
„Od ojca silniej; łagodniej niż matka
„I w mem objęciu będę cię trzymała
„Dłużej niżeli tę ziemię niebiosa!..."

— „Więc jutro," z cieniów rzekł głos uroczyście,
„Sama, u okna, strzeż się przywieść świadka!"

I brzękło kółko utwierdzone w murze,
Łódź odwiązana drgnęła szybkim zwrotem
I między drzewy, po śpiącym lazurze,
Ku miastu pełznęła się jaskółczym lotem,
Znikła i struny gdzieś jękły srebrzyście.
Młodziutka jeszcze jutrznia złotowłosa
Pierwsze swe blaski na piewcę rzuciła;
Ta twarz tak piękna, ta postać pochyła,
I rysy znane i postać gdzieś znana...
Odrzucił włosy... Tak — to twarz Allana.

III.

W znajomym domku, w bluszcze obwiniętym,
Stał Allan wzrokiem wisząc u kompasu;
Twarz skamieniała uporem zaciętym —
W też znaną szatę z czarnego atlasu
Strojny, tak samo biret dzierżąc w dłoni,
Jak wówczas kiedy raz pierwszy szedł do niej.

I dzisiaj czeka, tak jak czekał wtedy,
Lecz piersią jego nie porusza drżenie.
Przed nim jedwabnej drabinki pierścienie;
Czyż patrząc na te sznury zapomina,
Że z nich uwita do szczęścia drabina?
Jemu jednemu wzroku jej płomienie,
Jemu się warg jej dostaną purpury,
Miłość i Pomsta. Czemuż tak ponury?

Próżno, z rumieńcem sromu, przypomina
Świeżą obelgę, niezatartą jeszcze,
Dzień, w którym dumna i lekka dziewczyna
Ognie w nim cierpień zatliła złowieszcze!
Próżno rozdziera ranę niezgojoną,
Daremnie myśli jego w przeszłość toną,
Jak miecz w drgające jeszcze życiem łono.
Naprożno w imię czci, w honoru imię,
Świętego gniewu do piersi przyzywa;
I popiół wspomnień rozrzuca gwałtownie,
Chcąc iskrę znaleźć i zapalić głownię
Pożaru, która Pomstą się nazywa:
Żadna iskierka w popiołach nie drzemie.
Już Wola jego, jak zwisła cięciwa,
Choć rzuci strzałę, celu się nie ima;
A ręka gniewu napiąć jej nie zdoła,
Bo uschła tknięta skrzydłami anioła!
Miłości Anioł — jest ten Anioł Biały.
Wszedł i od blasków, co mu biły z czoła,
Pierzchł od Allana rój złych myśli cały,
Jak przed Chrystusem przekupnie z kościoła.
Pająki pokus, nietoperze złości
Unosząc jad swój w otchłań odleciały,
Nic nie zostało... nic — oprócz Miłości.

Dla tej miłości — z ojczystego grodu
Szedł na wygnanie w kraj daleki Wschodu,
Chcąc żary serca swojego ochłodzić
Świętem dotknięciem Zbawiciela Grobu;
Lecz niemoc jego była bez sposobu
I oddaleniem nie dała się zwodzić.
W Oliwnym sadzie z za drzew nań wołała,
Mówiła szeptem Jordanowej fali,
Z nim na Golgoty krwawym szczycie stała
I bliżej była, im odchodził dalej!
Dla niej — bądź imię boże nam pomocą!
Rzecz straszna mówić — w rozpaczy godzinie
Zbratał się, nędzny, z czarodziejską mocą;
Ratunku poszedł szukać na pustynię;
I tam burzliwą obłąkany nocą
Znalazł, gdzie ustroń samotna i dzika,
Strasznego władzą — starca czarownika,
On to dał pieśniom jego siłę czaru.
Lecz straszne przy niej postawił zaklęcie:
— „Kto kocha, dopnie miłości zamiaru,
„Lecz śmiercią musi zapłacić dopięcie!..."
Tak rzekł czarodziej. Cóż czeka Allana?
Rozkosz stracona — zaledwie doznana
I potępienie straszliwe, bezecne.
Och! takich przysług cena zawsze jedna.

Lecz wreszcie, jak bądź zapłacił je drogo,
Pozyskał Allan marzeń swych ziszczenie,
Dla niego Bianka. Czemuż zdjęty trwogą?
Dla niego tylko wzroku jej płomienie,
Dla niego warg jej miody i purpury:
Miłość i Rozkosz. Czemuż tak ponury?

Och! bo w tej chwili w głębi jego ducha
Nowe się myśli rodzą, rosną, biegną!...
On drżący cały, schyla się i słucha...
Miłość dla niego. O nie! — nie dla niego!
Zdradą chwycona obawia się zdrady.
Dzień by ją odkrył — zabił księżyc blady!
Wśród cieniów postać słania się nieznana,
Od wzgardy nowej ją ciemności strzegą...
Bianka kocha ten cień — nie Allana!
Biankę ciągną czary — nie pieśń jego!
Jegoż całować będzie upojona?
Jegoż szalenie przyciskać do łona?
Czyż jego imię wyszepcze wśród jęku?
Czyż twarz ujrzawszy zwiśnie mu na ręku,
Onże w jej sercu wzbudził niepokoje,
Jemuż przeznacza woń swą dziś ten kwiatek?
Przekleństwo! W uchu wierci mu kołatek:
— „Wszystko nie twoje, nie twoje, nie twoje!..."

(Dok. n.)

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.

Chociaż jechaliśmy pocztą, często musieliśmy zbaczać z gościńca do pokrewnych domów, których nie godziło się ominąć. W Kniażej-Krynicy na Ukrainie mieszkał zacny hr. Narcyz Krasicki, niegdyś marszałek Lipowiecki, a za Katarzyny wygnaniec do Saratowa. Ożeniony był z Teklą Sarnecką, wielkich cnót osobą. Zastaliśmy u nich pełno, jak w ulu, z okazyi urodzin, czy tam imienin, nie pomnę już czyich. Całe sąsiedztwo było *in pleno*. Odleglejsi przyjaciele nie zaniechali także przybyć z powinszowaniem i wiązaniem. Pomiędzy frakową zgrają młodych i starych kilka poważnych kontuszów stąpało. Pomiędzy nowowomodnemi stroje imości i imościanek wybitnie odbijały archaiczne kornety kilku sędziwych matron, piastunek dwóch lub więcej pokoleń.

Przyjęciem gości kierowała sama gospodyni w asystencyi brata swego męża, hr. Leopolda Krasickiego z Szabastówki, Sarmaty strojem, postawą, animuszem i niezrównaną dzielnością na bachusowej arenie. Co do samego przezacnego amfitryona, jeżeli był Polakiem w uczuciu, (czego dowiódł chwalebnie w swem życiu) to nie był nim wcale w pozorze. Uprzejmość jego i życzliwość nie przejawiały się na zewnątrz, nie spotykały gościa ciepłem słowem, ani serdecznem objęciem. Leżały one na dnie duszy jego, gdyby skarb ukryty i nie było takiego, coby o realnem ich istnieniu nie wiedział. Hrabia Narcyz nie lubił wina i nigdy go nie pił. Myśliwym nie był; i pewny jestem, że przez cały ciąg życia swego nie obciążył ani razu sumienia morderstwem zająca albo dzikiej kaczki. Nosił się po francuzku, i to z taką cyniczną abnegacyą, z taką jawną pogardą westymentalnej harmonii, ba nawet przyzwoitości, że sam Hogarth nie potrafiłby naszkicować bardziej komicznej toalety. Przytomność gości nie ścieśniała w niczem jego narowu, robić co się mu podoba i być takim, jakim zwyczajnie bywał. Jeżeli nie miał ochoty ust otworzyć, tobyś i obcęgami nawet słowa z niego nie wyciągnął. Dźwigał wtedy ociężałą starość swoją od okna do okna i tarabanił palcem po szybach i milczał. Kiedy się czuł w lepszem usposobieniu, stawał się nie wielomównym wprawdzie, ale przynajmniej mównym. Podziwiałem nieraz umiejętność, jaką posiadał, w krótkich słowach myśl obszerną, nieraz trafną, najczęściej ironiczną wyrażać. Ironia była rzeczywiście gruntem jego sądu o rzeczach i ludziach, podwaliną dedukcyi filozoficznych, jakie z poglądu na doczesność wyprowadzał. On oceniał wszystko i wszystkich według miary stosunkowej; nie przyznawał ani ludziom, ani ich czynom wielkości absolutnej. A ztąd do negacyi niedaleko.

Pamiętam zabawną scenę między nim a jego szwagrem p. Markiem Sarneckim. Z prostego dyalogu przeszli jakoś na tor dziejowy. Sarnecki, wielki entuzyasta, unosił się z zapałem nad świetnością niektórych postaci historycznych na polu nauki, sztuk pięknych, prawodawstwa, lub militarnych czynów. Pan Narcyz nie przerywał wcale, jakby oczekując aż się ten cały zasób oratorskiego ognia ulotni, ale żywą i ostrą ironią mówiła twarz, mówiły oczy. Milcząc wyrażał on jasno co myślał i tem więcej jeszcze podniecał Sarneckiego. Zdało się w końcu temu ostatniemu, że nazwawszy jedno z takich imion, które się niemal aż do apoteozy w sławie podniosło, zmusi szwagra swego zwinąć chorągiewkę i uznać się pokonanym. Użył więc tego sposobu i nazwał Aleksandra Wielkiego. Poczem zamilkł, pewny efektu, jaki wywarł na swoim słuchaczu.

Lecz wyraz twarzy pana Narcyza pozostał ten sam. Tylko się usta jego poruszyły i wyrzekły:

— Awanturnik!

Osłupiał Sarnecki, poczem zawołał z oburzeniem:

— Co? I ten dla ciebie za mały? Awanturnik! ha, ha, ha! no, a Cezar?

— I ten nie lepszy.

— A Scipion? Pompejusz? Annibal? hę?

— Sowizdrzały! Więksi u mnie Kiliński, Kordecki, Rejtan.

— A Napoleon? ów jeniusz nad jeniusze! ów bohater nieśmiertelny, przed którym drżał świat zwalczony!...

— Korsykański bandyta i nic więcej! — przerwał niecierpliwie pan Narcyz — najszkodliwsza mrówka ludzkiego mrowiska, kompletna nicość w obec cnót moralnych, jakich ewangielia naucza, nikczemne zero w obec potęg natury i mądrości Boga.

Zerwał się Sarnecki jak oparzony i wyszedł z pokoju.

P. Narcyz zaśmiał się śmiechem głębokim, podobnym do stłumionego ryku i rzekł do mnie:

— A co? Niepodobało się, ugodziłem w sedno i dobrze się stało. Śmieszą mię, dalipan, te dziecinne ich egzaltacye i ekstazy! Gniewają dziwaczne pojęcia o wielkości. Według nich ten największy z ludzi, kto najwięctj mordował, gwałcił, obdzierał, pustoszył, głębsze mieczem i ogniem w pokoleniach wypiętnował ślady! Zabawni!

— I znowu zamknął się w milczeniu, zaczął chodzić od okna do okna i tarabanić w szyby.

Takim był ów hr. Narcyz Krasicki, dziedzic Kniażej-Krynicy, Czerniawki i Annówki na Ukrainie, obywatel zamożny, a co lepsza człek najzacniejszy w świecie. Miałem ja u niego łaskę za to, że kiedy mię 12-letniego chłopca chciał nauczyciel mój (w asystencyi dwóch lokai) niesprawiedliwie ukarać, porwałem noża i nie dałem się ująć. Traf zrządził, że hr. Narcyz nadszedł w tej właśnie chwili, kiedym fagasów porozpędzał i skonfundowanemu nauczycielowi wyrzucał brutalskie obchodzeeie się ze mną.

— Wara Niemcze! — mówiłem doń w porywie oburzenia — łaską wszystko zrobisz ze mną, grozą nic! Jam Polak i wiem jak tam było pod Grünwaldem. Mogę to na tobie powtórzyć.

Pogodziliśmy się później najkompletniej i cala rzecz poszła w zapomnienie. P. Narcyz nie zapominał jednak zdarzenia, pokochał mię rzetelnie i przy każdem spotkaniu szeptał mi bywało na ucho.

— A co kochanku, jak tam było pod Grünwaldem?

I tym razem przyjął mnie łaskawie. Posadził u stołu przy sobie i nie troszcząc się bynajmniej o swoich

licznych gości mną tylko jednym był zajęty. Nie koniecznie byłem ja rad z tego, bo ten wzgląd jego przychylny wkładał na mnie obowiązek nieustannej baczności na to co do mnie mówił, a wolałbym przenieść całą uwagę moją na gawędę przedziwnego oryginału, pana starosty **Lipskiego**, który całe ucztujące towarzystwo do śmiechu pobudził.

Był to staruszek drobny, suchy, zwinny, świeży, rumianej, przyjemnej twarzy. Miał wąsik jak mleko i takież włosy opadały mu na ramiona. Chodził po polsku, przestrzegając pedantycznie najdrobniejszych przepisów westymentalnego kodeksu dawnej daty. Bóta innego nie włożył jeno czerwony lub żółty. Barwy kontusza i żupana regulował w taki sposób, żeby efektowie przy sobie odbijały. Co do pasa utrzymywał, że gdyby go Polacy tak zawiązywali jak on, nigdyby Polska nie upadła.

— Bo to widzicie — zwykł mówić — ja noszę mój pas bardzo ciasno (**tego jak on**), żeby gniótł i przypominał ciągle (**tego jak on**), żem Polak. A węzeł (**tego jak on**), jakim go na sobie przytwierdzam, kombinuję w taki sposób, żebym go łatwo rozwiązać nie mógł, a tem samem (**tego jak on**) nie tracił z baczenia, zgody i braterstwa, których (**tego jak on**) węzeł ów jest godłem.

Rzeczywiście był to paradny, nieoszacowany staruszek! Winko dodało mu werwy, fibrę dowcipu podnieciło. Gdyby nie te nieszczęśliwe **tego jak on**, któremi swą narracyę nałogowie szpikował, możnaby nazwać go wymownym, bo grał zręcznie słowem, a myśl nietylko poprawnie, lecz nawet z elegancyą wyrażał. I cóż dziwnego? Starosta **Lipski** posiadał niegdyś znaczną fortunę, miał obszerne rodowe stosunki; młodość swoją przepędził na dworze Stanisława Augusta pośród najznakomitszych przedstawicieli europejskiej światłości, Wersalskiej ogłady. A że był pięknym, układnym, dowcipnym, i dobrze urodzonym nie zbywało mu na niczem, żeby pozyskać prawo obywatelstwa w salonach najwyższej arystokracyi stołecznej, a może i w jej buduarach...

Kiedy był w dobrym humorze (bo czasami napadały nań chwile tęsknego usposobienia) lubił wspominać dawne czasy, przeszłość żywą narracyą odtwarzać. Wprowadzał wtedy słuchacza na scenę wielkiego świata Warszawy, kreślił trafne szkice głównych onej postaci, uchylał tajemną zasłonę intryg politycznych, samolubnych zabiegów, ohydnej szkarady, zdrad i podłości rozmaitego rodzaju, oraz ogólnego upadku społecznej moralności. I cierpiał opowiadając, wrzał oburzeniem nazywając po imieniu tych, co klejnot rodowego honoru zaprzedawali interesowi nieprzyjaciół ojczyzny, służyli im i nadskakiwali sromotnie!

— Napadamy na króla Stanisława Augusta — mówił starzec bywało — a ja wam powiadam, żeśmy niesprawiedliwi. Nie on zgubił kraj, nie! myśmy go sami zgubili. A że się nam potem wstyd zrobiło i przed sobą i przed drugimi, zwaliliśmy winę na króla i obładowawszy go jak ofiarnego kozła naszemi przewinieniami zaczęliśmy kląć jemu i złorzeczyć w obec historyi, żeby nie nas a jego potępiła. Jedną mam tylko jemu rzecz do zarzucenia, mianowicie, że zapragnął tronu, że się obowiązał rządzić krajem niepodobnym do rządzenia, krajem, który *de facto* nie był ani królestwem (bo jakież było znaczenie króla?), ani rzeczapospolitą, bo nie do wszystkich klas narodu zarówno a li tylko do szlachty i do magnackiej kasty należał, a wiadomo jak się ta przezacna kasta sprawowała — w ostatnich czasach zwłaszcza.

Innym razem puszczał bywało wodze swoim pessymistycznym dedukcyom i dopóty z sofizmu nie wychodził, aż go natchnienie chwili nie uniosło w inną sferę narracyi, diametralnie przeciwną poprzedzającej. Takie naprzykład mówił **absurda**:

— U nas nie było wolności *de facto*, chociaż chwaliliśmy się ciągle przed światem naszą wolnością. Gdzie prawo było tylko martwą literą, gdzie król był niewolnikiem oligarchii a lud igraszką szlachty, jakaż, pytam, mogła tam być wolność? Na wszystkich klasach ciężyły pęta, jedna tylko wola magnata gospodarowała samodzielnie po kraju, jeden on był realnie wolnym.

Zdarzało się zwyczajnie, że nie dawano się rozgadać staroście o tym przedmiocie. Przerywano jego ultrasatyryczną tyradę (bo komuż miła przesada prawdy?) a nastręczano staruszkowi inny jakiś temat opowiadania, którego się chwytał natychmiast, niepomny już tego, co go przed chwilą zajmował. Ale dość o nim. *Requiescat in pace.*

(Dok. n.)

PITAGORAS,

USTĘP Z DZIEJÓW HELLADY

skreślił

DR. WŁADYSŁAW DAISENBERG.

(Ciąg dalszy).

Jońskie plemię Hellenów zamieszkiwało Attykę, Eubeę, wyspy cykladyjskie i jońskie kolonie na wybrzeżu mało-azyatyckiem. W Attyce już od najdawniejszych czasów główną rolę grały Ateny, w których w pierwotnych czasach panowali królowie, następnie oligarchowie a nakoniec przyszła do władzy demokracya. Tukydides (*II 15*) mówi, że od Cekropsa do Tezeusza było w Attyce wiele miast, z których się każde autonomicznie rządziło i tylko w razie niebezpieczeństwa pod powagę ateńskich króli udawało, dopiero Tezeusz utworzył z Attyki jedno państwo, którego stolicą zostały Ateny. Rządy oligarchiczne sprawowało w Atenach dziewięciu archontów t. j. rządzących, zwanych także tesmotetami t. j. prawodawcami. Tradycya ateńska wspomina, że jeden z tych archontów czyli tesmotetów, Drakon, spisał swoje **prawa**, pod któremi nietylko ustawy ale i wyroki w szczególnych razach wydane rozumieć należy. Prawodawca ten żyjący w VII wieku nie wydał żadnych praw polityczno-konstytucyjnych, ograniczył on się do spisania zasad prawa prywatnego; Aristoteles (*Pol. II 9*) prócz nadzwyczajnej surowości nie znalazł w tych prawach nic uwagi godnego, lecz w gruncie rzeczy Drakon nie miał przyczyny i nie mógł być surowszym jak wiek jego, gdyż i on nie miał potrzeby tworzenia nowych praw, lecz zapewne tylko spisał prawo zwyczajowe, już pierwej przez archontów sądzących sporne sprawy stósowane, może z pewnemi tu i owdzie wprowadzonemi zmianami. Jeżeli prawo Drakona zdawało się być Aristotelesowi surowem, dowodzi

to tylko, że Hellada w ciągu trzech wieków od Drakona do Aristotelesa w cywilizacyi znacznie postąpiła. Obok Drakona wspomina także historya Aten o Kylonie, zięciu megarejskiego tyrana Teagenesa, który usiłował zrobić się tyranem ateńskim, co mu się jednak nie udało. Zresztą zupełnie nic więcej nie wiemy z dziejów Attyki i Aten w epoce przed Solonem, od Solona dopiero, który był w 30 lat po Drakonie (około r. 594 przed Chr.) archontem, przybywa nam więcej historycznego materyału. Solon miał się najwięcej przyczynić do objęcia w posiadanie przez Ateny wyspy Salaminy, do której rościły sobie pretensye, on także miał najwięcej wpłynąć na rozpoczęcie (wspomnionej już powyżej) świętej wojny przeciw Kyrrze, w której w przymierzu Tessalów, Sykionów i Ateńczyków objawia się po raz pierwszy jaka taka solidarność plemion helleńskich. Głównie jednak wsławił się Solon dopiero przez swe ustawodawstwo. W ułomkach, jakie nam z poezyi Solona pozostały, wspomina nam autor o smutnym stanie i nieszczęśliwem położeniu biedniejszych obywateli attyckich; jak w wszystkich prawie ówczesnych państwach tak i w Attyce istniało prawo, że sąd mógł wierzycielowi, któremu się dłużnik w terminie z długu nie uiścił, tegoż dłużnika przyznać za niewolnika wraz z młodszymi synami, niezamężnemi siostrami i córkami. W czasach Solona nie mogli już dłużnicy znosić tego tak przykrego położenia swego i niejednokrotnie buntowali się przeciw wierzycielom swoim, zaś bogaci wierzyciele obawiając się gwałtów i rozbojów, których zrozpaczeni dłużnicy ostatecznie dopuścićby się mogli, a zwłaszcza oligarchowie z obawy, aby w rozruchach ztąd wyniknąć mogących, nie utracili panowania, wezwali Solona, jako osobistość znaną powszechnie z wielkiej mądrości a zarazem i z wielkiej uczciwości, aby wglądnął w to smutne położenie Attyki i sposób zagodzenia tych sporów podał, zarazem też nadali Solonowi władzę prawie dyktatorską. Na tej zasadzie nasamprzód unieważnił Solon wszystkie zobowiązania połączone z poręczeniem osoby dłużnika, tj. takie, gdzie dłużnik już z góry zobowiązywał się zostać niewolnikiem wierzyciela swojego i równocześnie zabronił na przyszłość zawierania umów z tem zastrzeżeniem, iżby w razie niezadosyćuczynienia im osobista wolność dłużnika narażoną być miała, wszystkim dłużnikom, którzy w skutek niemożności uiszczenia się z długów swą wolność utracili, zwrócił Solon takowę, a nawet wielu z tej samej przyczyny za granice Attyki jako niewolników wywiezionych, odkupił i napowrót do Attyki sprowadził. Następnie zabronił także Solon obywatelom attyckim zastawiania lub sprzedawania synów, córek i sióstr pod ich opieką stojących, chybaby która z córek i sióstr dopuściła się nierządu i to jej udowodniono. Zapewniwszy tym sposobem osobistą wolność dłużnikom, rozchodziło się Solonowi jeszcze i o to, aby ułatwić dłużnikom, którzy wolności swej nie utracili, zwrot długów i w tym celu obniżył Solon stopę menniczą o 27%, tak że 100 drachm nowych mieściły w sobie srebra tyle, ile go dawniej w 73 drachmach było. Nareszcie nadał Solon amnestyę wszystkim przez archontów „czci pozbawionym," z wyjątkiem tych, których tak zawyrokowano za morderstwo i zdradę stanu.

Tym sposobem zagodził Solon spory między wierzycielami i dłużnikami a następnie wziął się do ułożenia konstytucyi dla Aten, która aczkolwiek jeszcze na gruncie rządów oligarchicznych spoczywa, jednak już w łonie swojem zaród demokracyi ateńskiej kryje (*Grote l. c. t. II str. 100*). On podzielił wszystkich obywateli attyckich według ich majątku, był on bowiem zwolennikiem timokracyi, biorąc to słowo w tem znaczeniu, w jakiem je Aristoteles (*et. 8, 10*) bierze, t. j. w znaczeniu rządu czyniącego przystęp do urzędów i dostojeństw możliwym tylko dla posiadających pewne prawnie wyznaczone dochody, a nie w znaczeniu Platona (*Rep. VIII 545 c.*), który pod timokracyą rządy rozumie, które się na „dobrej sławie" zasadzają (*Pape l. c. t. II str. 1096*); to też według Solona tylko z trzech majętniejszych klas można było być wybieranym na publiczne urzęda i do tak zwanej „rady czterystu," a na archontów tylko z pierwszej najmajętniejszej klasy, podczas gdy w zgromadzeniu ludowem wszyscy obywatele attyccy zarówno głosować mogli. Prócz tych praw konstytucyjnych wydał także Solon wiele przepisów odnoszących się nietylko do stosunków tak zwanych prywatnych, t. j. majątkowych i familijnych, lecz i do powinności obywatelskich; wiele także przepisów dotyczących handlu, uprawy roli, zawierania małżeństw i odbywania ceremonii ślubnych, chowania umarłych, używania źródeł i studzien zawdzięczają Ateny Solonowi; on zakazał wywozu za granice Attyki płodów ziemi attyckiej z wyjątkiem oliwy, polecił areopagowi czuwać nad tem, aby każdy z obywateli jakąś godziwą zajmował się pracą, dozwolił synowi nie dawać ojcu na tegoż stare lata utrzymania, jeżeli ojciec syna nie nauczył jakiego rzemiosła lub sztuki, dozwolił obywatelom na przypadek zejścia bez potomstwa czynienia rozporządzeń ostatniej woli według upodobania, (dotąd majątek osoby zmarłej bez potomstwa przechodził na rzecz rodu, do którego nieboszczyk należał), zakazał kobietom wszelkich demonstracyjnych żalów jak i odprawiania zbytkownych styp przy sposobności śmierci członków rodziny, podobnież zabronił kobietom wychodzić w nocy z domów chyba z latarką i w powozie, wszystkim zakazał źle mówić o umarłych, a o żywych w kościele, podczas publicznych obchodów uroczystych, przed archontami i przed sądem, zniósł karę śmierci naznaczoną przez Drakona na wszelkie kradzieże a naznaczył karę zwrotu podwójnej wartości skradzionych rzeczy. Jedno szczególnie z praw Solona zasługuje na głębsze zastanowienie; podobnie jak w objawieniu świętego Jana (*III 15, 16*) czytamy: „znam uczynki twoje, żeś nie jest ani zimny, ani gorący; bodajżeś był zimny albo gorący! a tak ponieważ letny, a ani zimny, ani gorący, wyrzucę cię z ust moich"; tak samo rozporządził i Solon, iżby uznanym był za pozbawionego czci wszelkiej i obywatelstwa każdy, ktoby podczas jakiegoś buntu, wojny domowej, lub jakichkolwiek domowych roztErek pozostał obojętnym i do żadnego nie mięszał się stronnictwa.

(C. d. n.)

Braki Zarządu lwowskiej sceny.

Piszemy te słowa po gruntownej rozwadze i gorliwem przejrzeniu się obecnemu tokowi rzeczy w lwowskim teatrze. Sądzimy, że uwagi nasze zasłużą na uznanie słusznej bezstronności, a gdyby w czemkolwiek mogły się przyczynić do ulepszenia w obecnym ustroju sceny, bylibyśmy aż nadto wynagrodzeni.

Potrzeba być bardzo stronniczym i przez matowe szkło uprzedzeń patrzącym, aby nie widzieć ogromnego

podniesienia się lwowskiej sceny w bardzo krótkim przeciągu czasu z ruiny moralnej, w jaką ją pogrążył pan Miłaszewski. Pomijamy utworzenie wcale dobrej opery, a zwracamy tylko na to uwagę, że obecny Zarząd zgromadził we Lwowie grono artystów tak liczne i tak wszechstronnie uzdolnione, że każde prawie najtrudniejsze arcydzieło sceniczne można dziś przedstawić bez ujmy dobremu smakowi i wyższym estetycznym pojęciom. Z wyjątkiem kilku gwiazd pierwszego blasku, jak Modrzejewska, Królikowski, Rapacki, wszystkie cenniejsze siły artystyczne Lwowa, Poznania i Krakowa zgrupowały się dziś w naszem mieście i potrzeba już tylko umiejętnego kierunku niemi, aby zaspokoić wszystkie artystyczne wymagania wielkiej sceny.

I to jest właśnie cechą zarówno smutną, jak dowodnie stwierdzoną, że naczelny Zarząd sceny jest nieudolnym i niedorosłym do wyżyn zadania. Mimo całego optymizmu, każdy to przyzna, że „zgniliznę jakąś czuć w Duńskiem królestwie.“ Na każdym kroku spotykamy szlachetne zapędy obok fałszywych poruszeń, a toć im śmielej się stąpa bez zachowania przezorności, tem kark nasz bywa snadniej na szwank narażanym. W każdem poczęciu nowej Dyrekcyi poznać najlepsze chęci, niszczone jednak w zarodzie brakiem tej rozwagi i tej przejrzystości wzroku, którę nadaje tylko rutyna i głębokie znawstwo przedmiotu. Nie odnosimy tych słów pojedyńczo ani do tz. *par excellence* „artystycznej dyrekcyi“ ani to tz. „Komitetu administracyjnego,“ lub też jego najczynniejszego i najbardziej zasłużonego reprezentanta p. Jana Dobrzańskiego, ale mówimy o Zarządzie *in abstracto* — dotykać osób, byłoby rzeczą bezpłodną i niepotrzebnie drażniącą.

Wartość każdego teatru stanowi: r e p e r t o a r z i jego s c e n i c z n e w y k o n a n i e. Pod pierwszym i drugim względem nie możemy twierdzić, aby słuszne i umiarkowane wymagania poważnej krytyki i rozumnej publiczności były zaspokojonemi. Postaramy się tego dowieść... W ciągu sześciu miesięcy, jakie miała na rozkazy nowa Dyrekcya, aby się z najkorzystniejszych stron przedstawić badającej publiczności, nie mogliśmy dostrzedz umiejętnego i świadomego rzeczy wyboru repertoarza. Rzecz wiadoma, że pan Miłaszewski zabrał ze sobą na lepsze czasy wszystkie sztuki nowe, grane pod jego dyrekcyą, rzecz więc pewna, że w pierwszej chwili nie pozostawało nic innego nowemu Zarządowi, jak wznawiać rzeczy stare a dobre, lub skorzystać z nadarzonej sposobności i zakupić bibliotekę teatru poznańskiego, mieszczącą niejedną cenną, u nas dotąd nieznaną sztukę. Tak też uczyniono i wdzięczni jesteśmy Dyrekcyi za: *„Filibertę,“ „Miłość i dyplomacyę,“ „Samolubów,“ „Skąpca,“* ale biblioteka była za ubogą w rzeczy dobre a za bogatą w ramoty, i kiedy poczet tamtych w kilku powyższych utworach się wyczerpał, musieliśmy odczuć na sobie wszystkie klęski moralne i estetyczne, jakie nam zadawały, do udręczenia powtarzane tego rzędu produkcye, co: *„Czuła strona,“ „Tajemnica,“ „Pewien jegomość i pewna jejmość“* itd. Dano kilka dramatów Korzeniowskiego i komedyi Fredry, za wpływem pani Modrzejewskiej i pana Rapackiego grano parę sztuk klasycznych, ale to wszystko nie stanowi tego warunku, który jest koniecznym: aby Dyrekcya trzymała za puls bez przerwy ruch literacki tak krajowy jak zagraniczny, aby zapoznawała nas systematycznie ze wszystkiem, co na tej niwie wspaniałej utworzyło się w złotych epokach i tworzy się co chwila pod ciągłym wpływem nowych idei, nowych kwestyi obyczajowych i społecznych. Liczba rzeczy dla nas nowych a z Poznania przywiezionych już się wyczerpała, ale kto nam zaręczy, że gdyby ich nie znaleziono przypadkiem w szafach tej biblioteki, bylibyśmy je ujrzeli?... Powiem, że nie — a to dlatego, że po dyrekcyi obecnej nie widzimy, aby z całem znawstwem przedmiotu i z całą uwagą na przyszłość brała się do gruntownego i systematycznego odnowienia repertoarza. Wyborem sztuk nie rządzi osobista inicyatywa, wypływająca z rozglądnięcia się po szerokim przestworze zadania, ale przypadek, który czasami wepchnie do rąk coś mającego wartość, jak n. p. *„Don Żuan“* Moliera, ale w zasadzie jest podstawą nazbyt kruchą. Dyrekcya powinna starać się koniecznie w tym kierunku stanąć na wysokości zadania, powinna znać ubiegły i bieżący ruch piśmiennictwa dramatycznego, powinna trzymać nas w ciągłem zetknięciu z rozwojem sztuki tak własnej, jak obcej. Potrzeba mieć zdolnych i stałych tłumaczy, a przedewszystkiem potrzeba mieć wszechstronnie ze swym przedmiotem obznajomionego kierownika literackiego, któryby nie mięszając się do wykonania scenicznego, zajmował się tylko ciągłem i systematycznem przygotowaniem materyałów dla repertoarza. Któżby uwierzył, że za Dyrekcyi obecnej nie przedstawiono dotąd a n i j e d n e j n o w e j s z t u k i o r y g i n a l n e j, bo przecież nie możemy tu uwzględnić kilku fraszek p. Stanisława Dobrzańskiego, do których on pewnie sam nie większą, jak my, przywiązuje wagę. Czyż doprawdy literatura nasza z lat ostatnich nie wydała — nic? Czy scena lwowska nie zadłużyła się swej publiczności z bardzo cennymi zaległościami? Wspomnimy tylko parę... Czy widzieliśmy Narzymskiego: *„Pozytywnych,“* E. Lubowskiego: *„Ubogich w salonie,“* Szujskiego: *„Zborowskich,“* Sarneckiego: *„Bezinteresownych,“* Maleszewskiego: *„Niewiarę,“* Wł. Koziebrodzkiego: *„W Jesieni“* i *„Miłe złego początki,“* Ad. Bełcikowskiego: *„Króla Don Żuana,“ „Hunyadi'ego,“ „Protegujących i protegowanych,“* St. Bogusławskiego: *„Złotego młodzieńca,“* S. M. Rzętkowskiego: *„Liwię Quintillę,“* Kubali: *„Glińskiego,“* pani Meller: *„Wandę?“* czy pomyślano już o *„Przeorze Paulinów,“ „Marynie Mniszchównej,“ „Literatach“* (Chęcińskiego) itd.? Czy Dyrekcya nie wie, że wprowadzanie na scenę utworów nowych, oryginalnych, pobudza rozwój produkcyi literackiej we własnym kraju, że po upadkach sztuk słabszych prawem postępu zjawić się mogą sztuki trwałej wartości literackiej? Czy nie wie Dyrekcya, że przez takie działanie dźwignęłaby nietylko teatr, ale i literaturę?... Również ostatnie lata za granicą wydały szereg utworów wysokiej wartości poetyczne, które wędrując po wszystkich większych scenach Francyi i Niemiec zjednały sobie najwyższe pochwały krytyki. Wymienimy tu tylko parę dla przykładu i wskazówki. Uważalibyśmy za bardzo godne przekładu ze sztuk niemieckich dramaty Grillparzera (*„Safo,“ „Medea,“ „Fale morza i miłości,“*) któreby nas owionęły zupełnie nam nieznaną atmosferą poetyczną, i Fryderyka Hebbla (*„Judyta,“ „Marya Magdalena“*), poety o rzadkiej jędrności słowa i sile obrazów. Dalej idą S. H. Mosenthala (*„Izabella Orsini,“ „Maryna Mniszchówna,“*) A. C. Brachvogla *„Księżniczka Montpensier“*, Rudolfa Gottschala: *„Pitt i Fox,“* Weilena: *„Rozamunda,“ „Nowy Achilles,“* Hamerlinga: *„Danton i Robespierre“* (w dobrem, scenicznem opracowaniu), Oskara Weltena: *„Theroigne de Marcourt,“* Murada Effendi: *„Selim III,“* Staufferta: *„Szach królowi,“* Wilbrandta: *„Nowożeńcy“* i *„Malarze“*; z literatury zaś najnowszej francuzkiej, Gondineta: *„Krystyna,“* Meilhaca: *„Nany,“* Latour St. Ybars'a: *„Wyzwoleniec,“* Barriera: *„Hrabina de Sommerive,“* Feuilleta: *„Julia“*... Toż to są wszystko rzeczy będące w tej chwili na wszystkich scenach, europejskich, produkcye najnowszych dni wysokiej ceny poetycznej i obyczajowej, a kto w naszym teatrze wie o nich lub myśli?

To trudno.. Potrzeba ruszyć z miejsca rażno i zręcznie, bo będziemy podobni do „zasuszonego dziadka w kostnicy“. Nadchodzi nowy sezon zimowy za granicą—Paryż, Wiedeń i Monachium gotują cały szereg ważnych nowości, materyał się zmnaża a myśmy się nie uporali dotąd, choć w małej cząstce, z produktami kilku lat ostatnich. Teatr nie lubi próżniactwa..

Przejdźmy do reżyseryi czyli wykonania scenicznego. Tu nie widzimy tej organicznej, całość obejmującej myśli, któraby umiała zestrajać żywioły, grupować je w ład i porządek, nadawać grze jednolite piętno wyższego stylu, czuwać nad dobrym smakiem artystów, strzedz ich od trywializmu w pojmowaniu sztuki, od wybryków cynicznej natury, owiewać całość duchem wyższego artyzmu; któraby uczyła sumienności, pracy, dokładnego studyum, któraby przyjmowała tylko owoce gruntownego i natchnionego trudu, usuwając powierzchowność, szukanie za ulotnym, choć szumnym efektem, gonienie za popularnością przez wysuwanie się na przód sceny, tam, gdzie potrzeba zostać w tyle pod karą zepsucia jednolitej harmonii, któraby wreszcie tyle miała w sobie taktu i bezstronności, aby artystów między sobą nie drażnić, ale osobiste niesmaki łagodzić, aby nie usuwać z pierwszego planu jednych, którym to miejsce należy, a stawić takich, których tam wiedzie tylko ambicya.. To już darmo — Dyrekcya nie wmówi w publiczność swoich uprzedzeń i sympatyi — ten areopag publiczny jest od niej starszym.. Fałszywa obsada ról, jeżeli się powtarza chronicznie, bywa złem wielkiej dla sceny, ujemnej doniosłości, — wykrzywia niejeden najzdrowszy talent, demoralizuje go i pędzi albo na szczyty ambicyi, tub też pogrąża w rozgoryczeniu, apatyi i lekkiem pojmowaniu rzeczy..

Słuszność nakazuje przyznać, że stanowisko bezstronnej reżyseryi jest w tym punkcie bardzo utrudnionem już z tego powodu, że grono artystyczne lwowskie jest obecnie bezprzykładnie licznem, a ztąd starcia i ambicye ciągłe i nieuniknione. Błogosławionym wtedy reżyser, jeżeli z niezachwianym taktem i niewzruszoną siłą osobistej woli, potrafi utrzymać na wodzy wygórowane ambicye i nie ulegnie sam pętom osobistych predylekcyi.. W każdym razie ważnem jest zadanie reżysera, aby umiał artystom wpoić tego ducha zaparcia się i bezwzględnego uszanowania dla zawodu, które pozwala choćby pierwszorzędnemu aktorowi, dla utworzenia dobrego ensemblu w sztuce, przyjąć rolę z drugiego planu i odegrać ją z należytą starannością. Tu już należy pokonać wrodzony egoizm, poświęcając go na ołtarzu wspólnej sztuki. U nas dotąd nie udało się reżyserowi rozpowszechnić pomiędzy artystami tak szlachetnych instynktów, i ztąd to na scenie naszej pierwszorzędny artysta gra zawsze z bezbarwną apatyą rolę o pol arkusza krótszą od tej miary, krórę sobie upodobał i za odpowiednią wysokości swego talentu uznał. Brak w tem dostrzedz tego wyższego poczucia sztuki, ktere pozwala Janowi Królikowskiemu grywać Minosa we „Fedrze“, Lewińskiemu aktora w „Hamlecie“ i t. d. Aby jednak zaradzić temu, potrzeba zarówno spręzystego, jak pełnego taktu i wyrozumiałości postępowania reżyseryi.

Dalszym faktem, który uniemożliwia częstokroć należyte wykonanie sztuki, jest brak dostatecznego przygotowania się, a ztąd zjawisko tak dziś często u nas powtarzane a tak zgubne—niewyuczenie ról. Żadna prawie sztuka nie gra się gładko i potoczyście; kto zaś wie, ile zależy na tem, aby artysta całkowicie owładnął pamięcią nad swoją rolą, ten pojmie, ile się trwoni w takim razie talentu; zmuszony oglądać się na usta suflera, nie może uledz zupełnemu uniesieniu, niepowstrzymanemu porywowi własnego zapału, aby nie utknąć i nie ośmieszyć się. Gdyby artyści nasi lepiej studyowali pamięciowo swe role, gra ich byłaby stokroć mniej ciężką i bezbarwną, jak nieraz bywa obecnie. Wynika to z braku prób; wielkiem przygotowaniem się do wystawienia jakiegoś obszernego i trudnego dzieła nazywa się już u nas odbycie 4—5 prób; ktoby to porównał z miarą poświęconego na ten sam cel trudu w teatrach zagranicznych, gdzie zaledwie 15—20 repetycyi uważają za liczbę prób niezbędną, tenby uwielbiać musiał naszych artystów, którzy w jednem prawie okamgnieniu muszą charakter pochwycić, duchowo go w sobie odtworzyć, artystycznie wypracować, szczegóły w jednolity zlać posąg i to wszystko w kilku dniach, najwyżej w dwóch tygodniach. Taka gorączkowość tworzenia nazwyczaja ich do lekkiego brania rzeczy, do tej kompozycyi tuzinkowej, jednodniowej, niedającej nam charakterów w ich typowem, wysoko ludzkiem ujęciu, ale postacie szablonowe, płytkie, zewnętrznemi tylko błyskotkami obwieszone. Powodem tego jeszcze—zupełna niestałość repertoarza. Bywa on wprawdzie układanym na kilka tygodni naprzód, ale nigdy się nie wykonuje. Jest to dowodem niebaczności w układzie tegoż, iż w miarę nadchodzenia czasu na zapowiedzianą reprezentacyę sztuki, pokazuje się tyle trudności jeszcze niepokonanych, że sztuka prawie zawsze na 2 lub 3 dni przed wyznaczonym sobie terminem ucieka z repertoarzą a lukę trzeba zapełniać na prędce tem, co z brzegu.. Żaden artysta u nas w przed dzień przedstawienia, w którem bierze udział, niema jeszcze nadziei, aby grał jutro; łatwo pojąć ża taka niepewność rodzi wadę nie troszczenia się o te jutro wątpliwe i studyowania roli w ostatniej chwili. Z 5 przedstawień dramatycznych w tygodniu zaledwo 2 przeciętnie odbędą się prawidłowo, to jest z kolei ułożonego naprzód repertoarza, 3 zaś (zawsze przeciętnie!) improwizują się w gorączce ostatniej potrzeby. Ja w ogóle nie wierzę w powodzenie żadnej improwizacyi, ale w tym razie najmniej. Ztąd to niemówiąc już o wykonaniu, i sam repertoarz traci swą całą wartość, bo rzecz naturalna, że wybrana w ostatniej chwili sztuka, może być albo tylko lekką farsą jednoaktową, którę jeszcze jako tako improwizować można, albo sztuką tak już ograną i wyszarzaną ciągłem wałęsaniem się po repertoarzu, że każdy artysta przez sen ją powtarza, lub o północy zbudzony mógłby ją recytować bez usterku.

Wszystkie te jednak zarzuty maleją w obec tego, co tu nazwałbym kwestyą najżywotniejszą, bo co swój wpływ rozszerza na dłuższą przyszłość i warunkuje stanowczo dalszy teatru lwowskiego rozwój. Jest to brak opieki nad pokoleniem młodych, często pełnych talentu nowicyuszów, którzy świeżo wstępują do teatru, rokując sobie na scenie przyszłość, nad owem gronkiem młodych artystów i artystek, którzy dziś zaczynają wychylać się ze szarego końca statystów i stanęli na punkcie, w którym potrzebują przejść pod kierunek gruntowny, świadomy i pracowity, aby z nich wytworzyć przyszły zastęp artystów i zapewnić byt sceny na ten czas dalszy, gdy obecnie pracujący stargają swoje siły i usuną się w zacisze starości. Teatr tak, jak dziś jest prowadzony, nie pracuje dla swej przyszłości, pozwalając swej młodej drużynie chodzić samopas bez źródła kształcenia się, bez zachęty i wskazówki... A szkoda, bo ostatnie czasy przesunęły nam przed oczami kilka talentów, mających w sobie wiele zasobów. Że te zasoby bez dojrzalszej pieczy zmarnieją i spaczą się, to jasne. Takim np. wiele obiecującym talentem byłaby panna Lewicka; posiada ona wszelkie warunki scenicznego powodzenia, ale żeby je wyzyskać i zastosować, potrzebowałaby niezbędnie kogoś, ktoby jej

wytłómaczył istotę naiwności, przez nią dotąd fałszywie pojmowaną, któryby pokierował jej deklamacyą i zrozumieniem, ułożył jej ruchy szorstkie, zadąsany ton głosu uczynił miększym i naturalnym. Takim materyałem na przyszłą artystkę jest również bez wątpienia panna Nieczęglewska, która bywa dotąd zjawiskiem na scenie o rzadkiej piękności, wdzięku i elegancyi ułożenia, ale niczem więcej, bo nie jest ani używaną, ani kształconą; takim wielce uzdolnionym artystą przyszłości jest p. Waleski, który chciałby brać sztukę bardzo na seryo, i inni, ale nie ma nad tem wszystkiem opiekuńczego wzroku, zdrowej wskazówki, gorliwego wyzyskania wrodzonych zasobów. Jeżeli obecnej Dyrekcyi wydala się szkoła dramatyczna aparatem za ciężkim i nazbyt ubocznie do rzeczy wiodącym (co także jest niesłusznem!), to należałoby znaleźć przynajmniej, choćby w gronie artystów, zdolnego nauczyciela deklamacyi i mimiki, jednego lub dwóch, którzyby pracowali nad scenicznem wykształceniem młodzieży. W każdym teatrze zagranicznym, na wiekszą stopę urządzonym, bywają tacy nauczyciele i w ogóle utworzenie przynajmniej częściowej szkoły dramatycznej, w którejby praktycznie przyspasabiano do sceny, statystów uczono sztuki grupowania i brania udziału w akcyi, czem jedynie iluzya scen zbiorowych się umożliwia itd.— byłoby rzeczą dla przyszłego rozwoju lwowskiej sceny nader pożądaną.

Kończymy w zaufaniu, że te uwagi w najlepszym wypowiedziane zamiarze, znajdą bezstronne przyjęcie. Płyną one z gorącej troski o wzrost tej sceny, którę obecna Dyrekcya, jakby, doprawdy, zaklęciem rószczki czarodziejskiej w kilku miesiącach z najgłębszego upadku podniosła i w najbogatsze zasoby uposażyła, Chodzi tylko, aby umiejętnie i gorliwie z tych zasobów korzystać—a zawsze z poglądem na przyszłość.

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Pfleiderer Otto dr. Moral und Religion nach ihrem gegenseitigen Verhältniss geschichtlich und philosophisch erörtert.* Leipzig. Reisland. 1872. Książka wielkiej żywotności. Treściwy wykład stosunku między religią a moralnością, jako samodzielnym utworem człowieczeństwa, od czasów greckich aż do obecnych. Wskazuje on, że etyka („*das Prinzip des Sittlichen*") tkwi wprawdzie w religii, ale tak, że objawy moralności utrzymują w obec niej stanowisko współrzędne, samodzielne i wyprzedzają nawet powstanie religii. Jest to więc autonomia, która się dawno należała etyce. Racyonalny pogląd na istotę tejże dawno już się domagał usamowolnienia jej z pod władzy dogmatu i oparcia li na wewnętrznej potrzebie duszy ludzkiej. Zarówno ci błądzą, którzy usuwają etykę zupełnie z dziedziny religii, jak i ci, którzy uważając pierwszą wyłącznie za płód ostatniej, powiadają, że prawidła obyczajowe całą swą pewność i siłę czerpią z religii.

LITERATURA. *Kreissig Friedrich. Vorlesungen über den deutschen Roman der Gegenwart.* Berlin. Nicolai. 1872. Porównuje charakter i osnowę nowożytnego romansu z rzeczywistymi stosunkami życia i z materyałem historycznym obecnej epoki w nim nagromadzonym. Autor znany jest z wszechstronnego znawstwa literatury francuzkiej i w swem najnowszem dziele przeprowadza często nader pouczające paralele między duchem obu tych piśmiennictw. Z dawniejszych jego dzieł polecamy: „*Vorlesungen über Shacespeare, seine Zeit und Werke,*" „*Studien zur französischen Literatur*" (Béranger, Scribe, de Maistre, Lamenais, Chateaubriand, Stael, Guizot, G. Sand, W. Hugo) i bardzo gruntowną: „*Historyę literatury francuzkiej od jej początków do czasów najnowszych.*"

— *Mecherzyński Karol dr. Historya literatury polskiej dla młodzieży.* Kraków. J. M. Himmelblau. 1872. Dzieje piśmiennictwa podzielone na siedm okresów; każdy poprzedzony wstępem, dającym ogólną, bardzo treściwą charakterystykę epoki i jej ducha. Oprócz ściśle literackich płodów umysłu uwzględnione tu zostały wszystkie inne czynniki życia, wraz z ich stosunkiem do literatury, jak się takowa objawiała w pismach, mowach, szkołach i kościele, jak się odbijała w obyczajach, jaki wywierała wpływ na bieg spraw publicznych, na prawodawstwo i losy państwa.

— *Ethe Herman dr. Essays und Studien.* Berlin. Nicolai. 1872. Oprócz kilku ciekawych monografii o Adolfie Böttgerze, Ryszardzie Wagnerze i innych, podaje ciekawe zapiski o tureckiej i perskiej literaturze, jakoteż pełna barwy powiastkę z życia wschodniego: „*Die Maid von Bagdad.*"

ESTETYKA. *Gayette-Georgens Jeane Marie. Geist des Schönen in Kunst und Leben. Practische Estethik für die gebildete Frauenwelt.* 2te Auflage. Berlin. Nicolai. 1872.

POWIEŚCI. *Kraszewski J. I. Z życia awanturnika, obrazki współczesne.* Nakładem *Tyg. Wielk.* Poznań. 1872.

— *Marrené Morzkowska. Róża, studyum małżeńskie.* Nakładem *Tyg. Wielk.* Poznań. 1872.

— *Bałucki Michał. O kawał ziemi,* powieść. Kraków, nakładem Kraju 1872.

— *Eismont T. M. Nierząd i praca, studyum literackie.* Kijów. Drukarnia uniwersytecka. 1872.

— *Kraj* drukuje ciekawą powieść *dr. Adama Bełcikowskiego*: „*Patryarcha.*"

— *Biblioteka powieści i romansów* drukuje w nowem wydaniu powieść *Walerego Łozińskiego: „Czarny Matwij.*"

NAUKI PRZYRODNICZE. *Navratil Arnold i Sokolowski Ant. Zarys chemii ogólnej, podług Roscoe; dzieło wydane pod kierunkiem prof. dr. Bronisława Radziszewskiego.* Kraków 1872. Wyszedł I-szy zeszyt.

— *Lewes'a G. P. Fizyologii codziennego życia, w przekładzie L. Masłowskiego* opuścił świeżo pracę zeszyt II. (Kraków, nakładem *Kraju.*)

PRAWO. *Lorimer James. The Institutes of Law.* Edimbourg. Clarck. 1872. Traktat o podstawach naturalnych prawa, zarazem historya rozmaitych doktryn, z eklektyczną dążnością zjednoczenia ich.

— *Gneist Rudolph dr. Der Rechtsstaat.* Berlin. Julius Springer. 1872.

KRONIKA TEATRU LWOWSKIEGO. Panna *Ludwika Piotrowska*, dyletantka znana zaszczytnie z kilku przedstawień amatorskich, weszła w skład lwowskiej sceny. Panna P. łączy rzeczywisty i wielostronny talent z wyższem poczuciem artystycznem, gruntownem wykształceniem i świetną powierzchownością. Wystąpi po raz pierwszy w: „*Radcach pana Radcy.*" Również zaangażowaną została świeżo do ról naiwnych panna *Urbanowicz* z Krakowa, jakoteż pp. *Zboiński i Fiszer.* Pierwszy z nich dwukrotnie już wystąpił we Lwowie. Gra jego spokojna, nacechowana zachowaniem artystycznej miary, wyczerpująca do dna podstawy charakterów, cicha i nie błyszcząca ma wiele powabu; pozwolimy sobie zauważyć, czy p. Z. w unikaniu wszelkiej brawury efektowej nie posuwa się za daleko, ze szkodą wyrazistości i plastyki charakterów, jakie przedstawia? Gra taka wtedy, nie uwydatniająca stanowczych przynajmniej chwil w psychicznym rozwoju człowieka, staje się tu i owdzie troche mdłą i bezbarwną. Granica jednak jest tu bardzo subtelną i to właśnie stanowi piętno wyższego artysty, aby nie poświęcając nic dla grubego efektu, dawał zawsze obraz pełny i jędrny. O talencie p. *Fiszera* napiszemy dopiero po drugim jego występie w: „*Naszych Najserdeczniejszych.*" — Uzupełniając wykaz benefisów zapisujemy, że pani Aszpergerowa wybrała tragedyę Halma: „*Szermierz z Ravenny,*" p. Konarski: „*Króla Leara.*" a p. Baranowski dramat Dominika Magnuszewskiego: „*Rozbójnik salonowy.*" Nie wiemy tylko, czy zdolna ręka wykończyła ten fragment?—Wkrótce przedstawiony będzie na scenie naszej piękny dramat M. B. Antoniewicza: „*Anna Oświęcimówna,*" w którym po raz pierwszy wystąpi pani *Nowakowska* po bolesnej stracie męża; komedya historyczna pp. Scribe i Legouvé: „*Powiastki królowej Nowarry,*" jakoteż zapowiedziana już dawno „*Balladyna,*" Słowackiego. Obsada ról: Balladyna, pani *Nowakowska* — Alina, panna *Deryng* — Matka, pani *Aszpergerowa* — Kirkor, p. *Woleński* — Fon Kostryn, p. *Ładnowski* — Grabiec p. *Dobrzański* — Pasterz p. *Kwieciński.*—Pierwszy benefis w tym sezonie nastąpi d. 2 Października. Będzie to „*Król Jan*" Szekspira na dochód pana *Ładnowskiego.*

Właściciel i wydawca: Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedzialny: Zygmunt Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.